

MÓJ PIERWSZY LIST

Wspomnienie to jest związane z kartką pocztową, która dziwnym trafem przetrwała i obecnie stanowi swego rodzaju kuriozum w zwykłej korespondencji obozowej. Doszło do jej napisania w sposób następujący.

Był mroźny ranek grudniowy 1944 roku. Na głównej drodze łączącej stary obóz z nowym stoją już komanda gotowe do wymarszu do pracy. Jest ciemno i ledwie zaczyna świtać na horyzoncie. Głodny i niewyspany myślę jak przetrwać jeszcze jeden dzień niewoli, gdy wtem widzę, jak od strony kancelarii obozowej nadbiega goniec, podchodzi do kapo mojego komanda, szepczą coś przez chwilę, a potem - zamarłem. Słyszę wyraźnie mój numer i wezwanie do natychmiastowego stawienia się przed kancelarią.

Każdy kto był w obozie koncentracyjnym wie z jakim uczuciem witało się takie wezwanie. Oznaczało ono najczęściej karę wznowienia śledztwem, a czasem wyrok śmierci nadeszły z Berlina. Rzadko wracało się potem do swojego bloku i komanda. Wysuwam się naprzód i widzę iskrę współczucia stojących obok mnie kolegów. Żegnam się z nimi wzrokiem i pełen najczarniejszych myśli idę w kierunku placu apelowego. Dopiero w takich chwilach okazuje się jak człowiek pragnie żyć, nawet w największej nędzy i upodleniu, ale ... żyć i przeżyć! Rozglądam się dookoła, mijam wychodzące do pracy komando, patrzę - może po raz ostatni na surowy krajobraz wzgórz otaczających obóz i wreszcie - zatrzymuję wzrok na kominie krematorium: wtedy pewnie wyjdę na wolność jeszcze dzisiaj nocy. Przez głowę przelatują myśli o ratunku, ale rzeczywistość jest nieubłagana.

Po chwili stoję sam przed kancelarią, a następnie wezwany, wchodzę do wnętrza i tu - moment odprężenia. Nie widać nigdzie SS-mana z Politische Abteilung, natomiast jeden ze Schreiberów daje mi do przeczytania list. Poznaję charakter pisma mojej matki ale ze zdenerwowania nie mogę początkowo niczego zrozumieć dopiero po chwili orientuję się, że list jest adresowany do komendanta obozu i zawiera zapytanie o mnie i stan mojego zdrowia oraz notatkę ołówkiem na marginesie: "zezwoić na odpisanie".

Teraz rozumiem wszystko. Przecież jeszcze w więzieniu Montelupich w Krakowie gdy przygotowano nas do transportu i gdy dowiedziałem się, że transport ma być skierowany do Gross-Rosen, napisałem na kilku banknotach 2-złotowych wiadomość o tym, że jadę do obozu i proszę o doręczenie banknotu pod adresem mojej matki. Gdy przewieziono nas na dworzec i na bocznym torze prowadzono do przygotowanego wagonu weszły jakieś panie z punktu dworcowego R.G.O. i podały nam gorącą kawę. Wtedy to udało mi się skutymi rękami wsunąć jednej z nich za wywiniętą skarpetkę buta narciarskiego, przygotowany uprzednio gryps. Widocznie gryps ten dotarł na miejsce przeznaczenia i matka moja wpadła na pomysł żeby napisać wprost do obozu z zapytaniem czy się tam znajduje.

Uspakajam się i słucham uważnie schreibera który daje mi czystą kartkę pocztową, dyktuje tekst odpowiedzi i poleca doręczyć jeszcze dzisiaj napisaną kartkę mojemu blokowemu.

Wracam przez prawie wyludniony o tej porze obóz i wchodzę do baraku. Blokowy wita mnie trochę niespokojnym spojrzeniem - wczoraj wieczorem za jakieś wyimaginowane przewinienie przeciął mi ciosem pięści skórę na brodzie, więc dowiedziawszy się, że zostałem wezwany do kancelarii i nie wiedząc co było tego przyczyną powiązał może te dwa fakty w jedną całość, szczególnie, że na bloku byłem człowiekiem "nowym", przeniesiono mnie tam z bloku przejściowego przed kilka dni. Na pytanie blokowego po co wezwano mnie do kancelarii oświadczam z godnością, że na polecenie komendanta obozu mam napisać poza kolejnością list do domu i - pokazując kartkę pocztową, proszę o pióro i atrament. Blokowy wpuszcza mnie do swojej izby, sadza przy stole i z niedowierzaniem przygląda się jak piszę z pamięci uprzednio podyktowany mi w kancelarii tekst. Następnie czyta kartę i proponuje żebym został już do wieczora na bloku.

Tak więc dzięki listowi mojej matki mogłem nie tylko wcześniej nawiązać kontakt z domem, ale spędziłem dodatkowo jeden dzień w ciepłym pomieszczeniu i - co ważniejsze do końca pobytu na tym bloku miałem spokój ze strony blokowego. Nie wiem czy uważał mnie za wyjątkowo uprzywilejowanego w porównaniu z innymi polskimi więźniami - osobnika, czy po prostu potraktował fakt rozmowy i pisania listu w blokówce jako moment zawarcia z nim pewnego rodzaju znajomości. Nr. archiwum Gross-Rosen 4.6.3.

Meine Liebste Mutter!
Die 3 Karten und 2 Pakete für welche danke Dir herzlich habe ich erhalten. Die Pakete waren im besten Zustand besonders der Schweinschmalz.

Die größte Trost habe ich über den Ausgang der Nachrichten von meiner Frau und Kinder. Ich fühle mich gesund und munter.

Anlässlich der kommenden Weihnachten wünsche ich Dir liebe Mutter alles bestes und sende Dir herzlichste Grüsse und Küsse

zensiert: *Var*

Dein Sohn

Andrzej Fukuś

17/XII - 1944

List z obozu do Matki pisany w dniu 17.XII.44 przez Andrzeja Fukuśa Nr ob.4679 z bl.18.

Przypuszczamy, że list pisany przez autora wspomnień Antoniego Janusza rozpoczynały te same 3 słowa i kończył się podobnym ostatnim zdaniem.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.4.

247/6d

WSPOMNIENIA Z KOMANDO WEBEREI

Był wrzesień 1944 roku. Zostałem aresztowany gdy miałem 16 lat. Przeszedłem ciężkie śledztwo w Szczekocinach, wielu współtowarzyszy rozstrzelano. Mnie od niechybnej śmierci uratował ślązak - żołnierz niemiecki, który choć przy aresztowaniu znalazł u mnie dwa granaty - nie przekazał ich do depozytu w śledztwie. Zbitego, głodnego z zawiązanymi drutem rękami przetransportowano mnie do więzienia w Częstochowie. Tu odbywały się dalsze przesłuchania, bicie, torturowanie. W końcu września wyprowadzono naszą grupę, znowu powiązano ręce drutem z tyłu, odwieziono samochodem na dworzec i załadowano do wagonów. W męczarniach z pragnienia, głodni i zbici, ręce krwawiły od wrzynającego się w ciało drutu, dojechaliśmy do Gross-Rosen.

Początkowo umieszczono nas w skrzydle B bloku 21, a po kilku dniach podczas selekcji więźniów przeniesiono mnie na blok 7 do pracy w komando Weberei. Choć trudne były tu warunki mojego bytowania i pracy, jednak ze współczuciem patrzyłem na swoich współtowarzyszy transportu - jak w ciężkiej pracy w obozie na zimnie i deszczu coraz bardziej chudli i grupka ich coraz bardziej malała. Zapewne cieszyli się oni, że ja otrzymałem jako młodociany przydział lżejszej pracy.

Praca w Weberei odbywała się na dwie zmiany, zmiana dzienna i nocna po 12 godzin. Ja pracowałem na zmianie nocnej, od 6 wieczorem do 6-ej rano, pracowało się bez przerwy, za wyjątkiem paru minut, pomiędzy godziną 9-tą a 11-tą wieczorem, kiedy rozdawano nam pół litra tak zwanej kawy. W tym czasie można było wyprostować trochę plecy. Praca odbywała się na siedząco. Pracując na zmianie nocnej dużo dnia się nie widziało. Kończąc pracę rano o 6-tej przychodziło się na barak. Na baraku były umywalnie z zimną wodą, obowiązujące mycie, odwszanie, przy odwszeniach każdy się musiał rozebrać, przechodzić inspekcję czy się jest czystym. Nie daj Boże, aby u kogoś znaleźli trochę brudu albo wesz czy gnidy, czego wytepić w żaden sposób nie było można. Ale tak musiało być i każdy musiał przez to przejść: karę, to jest bicie, czy też mycie w zimnej wodzie szczotką ryżową, czy też pozbawienie pół litra zupy, którą otrzymywaliśmy na śniadanie i inne jeszcze kary były też stosowane. Po śniadaniu i rannym apelu pomiędzy godziną 8 a 9-tą szło się spać: prycze dwupiętrowe, jeden koc do przykrycia. O godzinie 15.50 pobudka, godz. 16 - 16.30 wydawano obiad, który składał się z niespełna litra zupy, 300 gramów chleba, kawałka margaryny, nieraz były dodatki: łyżka konfitur z buraków albo talarek kiełbasy. O godzinie 5-tej apel, o 6-tej szło się do pracy. I tak przechodził dzień za dniem. Praca w Weberei obowiązywała we wszystkie dni tygodnia i święta, za wyjątkiem jednej niedzieli w miesiącu.

Weberei była to tkalnia. Z odpadków różnych kawałków materiału pletło się sznury, tak jak się plecie warkocze, grubości i szerokości dwóch palców. Do tego służyła miarka i w żadnym wypadku nie mogło być różnicy na całej długości, którą się pletło. Nie było dopusz-

czalne, aby ten sznur mógł się zerwać. Rano przy oddawaniu pracy forarbeiter sprawdzał; gdy sznur się zerwał było się karanym. Kary były różne. Były też tkane pasy, z tych samych kawałków materiału, szerokości 4 palców, do pasów również służyła miarka. Do czego służyły te sznury i pasy, które pletliśmy, nikt nie wiedział. Praca ta była uciążliwa i odpowiedzialna, wymagająca wiele ostrożności. Źle upleciony sznur, czy źle utkany pas z chwilą przerwania się trzeba było zaczynać od nowa. Norma wynosiła 15 metrów na dniówkę. Za tę pracę byliśmy opłacani. Osoby starsze zarabiały po 5 marek, płacone w bonach. Młodociani zarabiali połowę /2 1/2 marki/. To były początki. Pod koniec, kiedy materiał był bardzo zły, same skraweczki i nie wyrobiono normy, nie było żadnego wynagrodzenia. W obozie była kantyna. Za te pieniądze /bony/ można było kupić chleb, papierosy i inne rzeczy, lecz nie zawsze kantyna była zaopatrzona.

W baraku Weberei gdzie pracowałem było kilka pokoi, tak zwane sztuby, w których przebywało od 6 do 10-ciu ludzi, i jeden vorarbeiter, a głównym "capo" był człowiek o nazwisku lub przezwisku Marian. W Weberei pracowały różne narodowości. Większość stanowili Polacy, Rosjanie. Polacy przeważnie pracowali sami lub z Rosjanami. Nieraz nocą przy pracy śpiewaliśmy nawzajem polskie i rosyjskie piosenki, czego nam nie zabraniano.

Z końcem grudnia i miesiąca stycznia, kiedy naloty lotnicze były coraz częstsze, gaszono w Weberei światło na jakiś czas, nieraz i do 3-ch godzin. Praca ustawała. Tego nie można było nadgonić. Odważni w tym czasie - organizowali ziemniaki z kopców wybudowanych w pobliżu Weberei. Szli najodważniejsi, chcąc ulżyć trochę samym sobie i kolegom, którzy czekali i pilnowali na baraku. Lecz za taką kradzież, gdy kogo złapano - nie wracał już na barak. Opiekunem tych kopców, przechowałni ziemniaków na zimę, był "capo" z przezwiskiem Marynarz, z winklem zielonym. Kto się dał złapać i wpadł w jego ręce, grubym kijem wskazywał drogę ku krematorium, które się mieściło obok Weberei, i z tamąd już nikt nie wracał. Byli tacy, którym się udało "zorganizować" ziemniaki, przynosili na barak i tam się dzielili między kolegami. Rano "capo" o nazwisku czy przezwisku Marian, kiedy przychodził i sprawdzał naszą pracę, nie chciał zrozumieć tego, że nie było światła, że nie mogliśmy pracować. Ile metrów brakowało do 15-tu "capo" Marian dokładał nam tyle kijów. Każdemu ile brakowało. Nawet vorarbeiter danej sztuby nic na to nie mógł poradzić. "Capo" Marian po kolei wyznaczał, każdy musiał położyć się na krześle, a "capo" bił gdzie popadło, aż ludzie mdleli. Każdy sam musiał liczyć uderzenia. Po całej odprawie "capo" mówił, że kto jutro nie wyrobi normy, czeka go to samo. Takie bezlitosne bicia otrzymywaliśmy często. Gojenie się ran było bardzo trudne, gdyż przeciwdziały temu naturalnemu procesowi kąpiele. Do kąpieli wchodziło się grupami po 20-tu lub więcej. Reszta czekała na polu. Do kąpieli szło się blokami, do stu ludzi. Czekano się na polu przed łaźnią na wielostopniowym mrozie. Często się zdarzało, że grupa, która wychodziła po kąpieli, nie wracała zaraz do baraku, a czekała na resztę na polu. Wielokrotnie zabrakło ubrań. Nago i boso się czekało. Nogi przymarzały do ziemi. Dopiero kiedy wszyscy wyszli z kąpieli wracało się do baraku. Strupy z gojących się ran odpadały w kąpieli. Kąpiel trwała parę minut, woda na zmianę zimna i ciepła, i jedno mydełko dla całej grupy. Często z niewiadomych powodów, kiedy wychodziliśmy z

kąpieli, bito nas i kopano. Tak to było przez parę miesięcy, które siedziałem w Gross-Rosen, do chwili przeniesienia mnie do innego obozu.

Tym następnym obozem był Hersbrück, filia obozu we Flossenburgu. W lutym w odkrytych węglarkach przybyłem do tego obozu, w wagonach pozostawiając wielu współtowarzyszy zmarłych z głodu i zimna. Ciężka praca w komando Pomensbrum przy kopaniu rowów, noszeniu ciężkich kłód drewna, wyczerpywały moje siły życia. A gdy rozpoczęto ewakuację pieszą komanda w kierunku Dachau - kilkudniowy marsz na trasie 280 kilometrów był dla wielu z nas ostatnim etapem. Gdy 28 kwietnia obóz Dachau wyzwoliły wojska amerykańskie, leżałem nieprzytomny w gorączce tyfusowej, nie wiedząc o tym, że jestem już wolnym człowiekiem. Przeżyłem jednak obóz Gross-Rosen, Hersbrück i Dachau. Człowiek wiele może przecierpieć, ale trudno to opisać.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.62.



Symboliczne wyzwolenie więźniów z Gross-Rosen. Fresk w kościele w Rogoźnicy wykonany przez nieznanego autora. Nr archiwum Gross-Rosen 1.9.6.

FRAGMENT WSPOMNIENI Z KOMANDA BLAUPUNKT

Noszenie ciężkich kotłów z zupą nie należało do lekkiej pracy. Po przeniesieniu kilku takich dużych termosów z oddalonej kuchni do bloków, ręce mnie bardzo bolały, a nogi drżały pod ciężarem. Po tej "szkole" z kotłami już więcej nie dołączałem do grupy inwalidów. Bałem się, aby mnie nie zdemaskowano w mojej mistyfikacji, a wtedy na nic lepszego nie mogłem liczyć jak na pobicie.

Chodziłem znowu na ćwiczenia lub do pracy z całym stehkomando. W czasie jednych z takich ćwiczeń na Appellplatz, kiedy staliśmy w wyrównanych szeregach, przed front naszej kolumny liczącej może więcej jak tysiąc więźniów, przyszło kilku Niemców ubranych w białe kitle. Wyglądali oni jak lekarze, a twarze mieli dość inteligentne. Przechodzili oni przed naszą kolumną i patrzyli uważnie każdemu więźniowi w twarz. Co pewien czas kazali komuś występować z szeregów. Kiedy doszli do mnie i ja zostałem wybrany. Z całej naszej kolumny zgrupowano tak około dwustu więźniów. Teraz kazano nam powyciągać ręce do przodu. Niemcy w kitlach do każdego podchodzili i uważnie przyglądali się naszym palcom. Z naszej grupy znowu wyselekcjonowano około trzydzieści osób. Wśród wybranych i ja się znalazłem.

Poprowadzono nas parami do baraku gdzie miał swe pomieszczenie trzeci rewir. W piwnicach pod szpitalem mieścić się komando robocze Blaupunkt i tam nas zaprowadzono.

Całą naszą grupę przydzielono do szkolenia. Po całych dniach mieliśmy za zadanie z cieniutkich drucików wykształcać określone figury geometryczne. Uczono nas także lutować bardzo precyzyjnie różne drobiazgi. Nigdy nie mając zdolności do prac ręcznych, znacznie gorzej wypadałem od innych. Miałem ponadto trudności w manipulowaniu palcami, bo palec wskazujący po operacji nie chciał się jeszcze zginać. Starałem się bardzo w swoim szkoleniu bo zapowiedziano, że tylko pięciu najlepszych zostanie zatrudnionych na komandzie, a reszta z powrotem powróci do stehkomando. Taka perspektywa nie bardzo mnie się uśmiechała. Obserwując pracę na komandzie Blaupunkt, gdzie wyrabiano kondensatory, dochodziłem do wniosku, że stosunkowo warunki tu były możliwe do wytrzymania.

Capo naszego komanda szkoleniowego był Polak o nazwisku Grabowski. Pochodził on z kieleckiego, a do obozu trafił za udział w partyzantce. Z zawodu był on inżynierem i pewnie z tego tytułu zrobiono go capo w takiej precyzyjnej fabryce. Odnosił się on do nas bardzo dobrze i nikomu krzywdy nie czynił.

Okres szkolenia miał trwać dwa tygodnie, a po tym każdy musiał się poddać egzaminowi. Po tygodniowym pobycie, capo zwrócił się do nas z zapytaniem czy ktoś zna język niemiecki w mowie i piśmie. Z całej naszej grupy liczącej trzydzieści osób, zgłosił się ksiądz i ja. Nasz szef Grabowski przeprowadził krótki egzamin i okazało się, że moja niemczyzna była lepsza od me-

go współzawodnika. Na mocy takiej eliminacji zostałem takim nieoficjalnym pisarzem szkoleniowego komanda. Przestałem się szkolić w dziedzinie ślusarskiej, a do nowych moich obowiązków należało myć menażkę capo, przynosić mu śniadanie i inne posiłki. Oprócz tego raz dziennie miałem robić krótkie sprawozdania z pracy, naturalnie, po niemiecku. Biorąc pod uwagę całokształt moich zajęć to właściwie przez trwający dwanaście godzin nasz dzień roboczy, się nudziłem. Capo Grabowski również nie wiele mając do roboty chętnie ze mną wdawał się w długie rozmowy. Po kilku dniach zaprzyjaźniliśmy się z sobą. Czułem się dobrze mając dobrego szefa i w tej sytuacji wszystkie niedostatki i pobyt w obozie wydawał się mniej tragiczny.

Tak trwało parę dni. Przyszedłem z rana jak zwykle do pracy, a Grabowskiego nie było. Nie było również w naszym komandzie szkoleniowym i młodego księdza, który jak się okazało także pochodził z kieleczyzny. Na komandzie panowała złowroga cisza. Siedzieliśmy pogrążeni w zadumie nie wiedząc co stało się z capo i księdzem. Po kilku godzinach wszystko się wyjaśniło. Okazało się, że wczesnym rankiem Grabowskiego i sześciu innych więźniów pochodzących z kieleckiego, rozstrzelano. Jak opowiadano, to nadszedł z Gestapo wyrok śmierci na partyzantów.

Żal i smutek panował na naszym komandzie gdyż wszyscy lubili Grabowskiego i jako człowieka i jako zwierzchnika. Szczególnie ja boleśnie odczułem stratę swego opiekuna i przyjaciela. Nie wiedziałem także jak potoczą się moje dalsze losy obozowe.

Na drugi dzień po stracie Grabowskiego, przybył na nasze komando jako capo Niemiec o czerwonej nalanej twarzy. Miał on lat około czterdziestu, był silnej budowy ciała, a nazywał się Wilkenhausen. Mówił on jakimś trudno do zrozumienia dialektem i mimo, że z niemieckim byłem trochę osłuchany, nie wiedziałem co on do mnie mówił. Byłem w dalszym ciągu tym nieoficjalnym pisarzem, ale nadeszły na mnie ciężkie dni. W wolnych dla mnie chwilach, których miałem najwięcej, wysyłał mnie mój nowy capo do najcięższych prac, których wykonanie sam najczęściej nadzorował.

Przywieziono raz transport tri do naszej firmy. Cysterny dowieszone zostały do bram obozu, a dalej musieli je przetaczać heftlindzy. Cysterny były duże i ciężkie, a do ich przetransportowania przeznaczono mało osób. Pchaliśmy z całych sił olbrzymi pojazd lecz robota posuwała się wolno. Dozorował nas capo Wilkenhausen i coraz to kogoś sprzął. Nie ominęło i mnie bicie. Capo widocznie zważając, że ja za mało przykładam się przy pchaniu cysterny, uderzył mnie dwukrotnie w twarz, tak że się mocno zatoczyłem. Po tym incydencie zdawałem sobie coraz bardziej sprawę, że moja sytuacja staje się marna, a współpraca z capo się nie ułoży.

Następnego dnia przyszedł na nasze komando majster z drugiego wydziału w poszukiwaniu nowego robotnika. Ja mając chęci wyrwania się spod szefostwa Wilkenhausena, natychmiast się zgłosiłem do nowej pracy. Mój nowy zwierzchnik popatrzył na mnie i za zgodą capo zabrał mnie do swego wydziału. Miał on chyba lat około dwudziestu pięciu. Z wyglądu sprawiał wrażenie surowe, ale w gruncie rzeczy był niezłym człowiekiem. Majster nazywał się Królak i pochodził ze Śląska. Mówił biegle po niemiecku i po polsku w gwarze śląskiej. Przez cały dzień, a właściwie przez całą noc /pracowałem na nocnej zmianie/ nie wtrącał się do pracy, a jedynie interesowało go, aby każdy swą normę wykonał.

Bezpośrednim moim zwierzchnikiem był vorarbeiter. Był nim w moim wieku częstochowiak o nazwisku Majcherczyk. Jak on opowiadał to wynikało, że był on absolwentem szkoły handlowej, a do obozu dostał się za udział w AK. Ze swoim vorarbeiterem od razu się polubiłem. Nie traktował mnie on jako podwładnego, a raczej jako kolegę i przyjaciela. Na imię miał on Stanisław i mówiliśmy sobie po imieniu.

Przychodząc do pracy w komandzie Blaupunkt byłem znowu wychudzony. To co się trochę poprawiłem przebywając w szpitalu, to przy wyniszczającej pracy w stehkomando, straciłem na wadze. Mój vorarbeiter Stasiek widząc mnie muzułmanem bez pomocy żywnościowej z domu, za swój punkt honoru wziął, aby mnie doprowadzić do lepszego wyglądu fizycznego. Dostawał on z domu często dość dobre paczki i nie było dnia, aby mnie czymś nie poczęstował. Każdy dodatkowy kawałek chleba w warunkach stałego głodowania, miał nieocenione znaczenie.

Moim nowym capo był młody łodzianin. Z wyglądu mógł on uchodzić za przystojnego i wielką wagę przywiązywał do swego ubioru. Zawsze chodził starannie ogolony, a ubranie było czystutkie i nie pogniecione. Miał on widać znajomości w Effektenkammern bo często zmieniał swoje ubranie. Wygląd zewnętrzny capo nie licował jednak z mentalnością właściciela. Przy bliższym poznaniu okazało się, że łodzianin reprezentuje sobą typ pospolitego łobuziaka o niskim poziomie intelektualnym.

Szczególnie ulubionym jego zajęciem było słuchanie i opowiadanie wulgarnych w treści kawałów. Do mnie capo był stosunkowo nienajgorzej usposobiony. Ja poznawszy słabości mego zwierzchnika potrafiłem w pewnym stopniu zdobyć jego przychylność. Udawało się to mnie poprzez mówienie komplementów, tak jak jakiej primabalerynie. Capo to co mówiłem o jego pięknym wyglądzie brał za dobrą monetę, podczas gdy ja właściwie kpiłem z niego. Czasami moi koledzy z pracy po prostu obawiali się o mnie, kiedy ja zgrywałem się w balansowaniu w doborze komplementów. Bywałem również czasami cierpliwym słuchaczem niewybrednych i głupich dwocipów capo.

Poprzez zdobycie sympatii capo miewałem czasem od niego dolewki zupy. Wyglądało to tak, że łodzianin zlecał mnie po jedzeniu wymycie kotła. W zasadzie "wymycie" polegało na tym, że po rozdaniu wszystkim zupy na dnie kotła pozostawało jeszcze zazwyczaj sporo jedzenia. Wybierałem je sobie i dzieliłem się jeszcze z kolegami z pracy.

Nie dla wszystkich bywał jednak capo taki "słodki". Czasami po wydaniu posiłku ogłaszał on, że kto jest głodny niech się zgłosi po dolewkę. Na taki apel wielu się cisnęło do kotła chcąc otrzymać dodatkową porcję zupy. Capo przyglądał się amatorom repety i kiedy zobaczył kogoś w kolejce kto otrzymywał z domu paczki, wyciągał tego z niej i bił. W zasadzie nasz capo nie był uważany w obozie za bandytę bo jeżeli kogoś i pobił to niezbyt mocno i groźnie.

Praca na komandzie trwała po dwanaście godzin na dobę, z godzinną przerwą na obiad. Ja pracując na nocnej zmianie, od godziny siódmej wieczorem do siódmej rano, miałem przerwę obiadową od godziny dwunastej w nocy do pierwszej. Czas przerwy częściowo zużywany był na jedzenie, a resztę na wypoczynek. Nocna praca miała dobre i złe strony. Najważniejsze było to, że nie

trzeba było brać udziału w apelach. Podczas gdy inni, a w zasadzie większość heftlingów obozowych wystawała godzinami na apelach, ja z całą swoją nocną zmianą, spałem na bloku.

Praca nocą w suterenach w wyziewach tri bardzo ujemnie wpływała na zdrowie. Często też z naszego komanda heftlindzy trafiali na rewir skąd rzadko wracali już do pracy.

Na komandzie Blaupunkt Polacy stanowili większość zatrudnionych. Pracowało tu także sporo więźniów reprezentujących różne narodowości. Byli Rosjanie, Czesi, Francuzi, Niemcy i Serbowie. Tak się mnie złożyło, że za swoich sąsiadów przy warsztacie roboczym miałem Francuza i Rosjanina. O ile towarzystwo Francuza nie było zbyt przyjemnym o tyle z Rosjaninem się zaprzyjaźniłem. Z tym pierwszym to się przede wszystkim nie mogłem dogadać, bo znał on tylko swój ojczysty język, a ja po francusku nie mówiłem. Siedzenie koło kogoś przez jedenaście godzin bez porozmawiania samo w sobie było już przykre. Na domiar mego negatywnego stosunku do Francuza było to, że on często psuł powietrze, a w ogóle jakoś dziwnie śmierdział. Z tego też tytułu często "obstawiałem" swego sąsiada po niemiecku, ale on pewnie z tego nie wiele co rozumiał bo odpowiadał coś po francusku, co ja dla odmiany nie rozumiałem.

Z drugim swoim sąsiadem, Rosjaninem bez trudności się porozumiewałem i po pewnym czasie, zaprzyjaźniliśmy się. Nazywał się on Łomonosow i pochodził ze Smoleńska. Do obozu trafił za udział w ucieczce z obozu jenieckiego. Na wolności, jak opowiadał, pracował w fabryce jako ślusarz. Moja przyjaźń z Łomonosowem nie ograniczała się tylko do godzin pracy. Sypialiśmy również na sąsiadujących z sobą pryczach. Często zdarzało się, że ja po otrzymaniu dodatkowej porcji zupy od capo, dzieliłem się nią z niemającym znikąd pomocy, Rosjaninem.

Jednym z najbardziej popularnych więźniów na moim komandzie był warszawiak, pochodzący ze Starówki, niejaki Skorek. Odznaczał się on wyjątkowo pięknym głosem. W czasie przerwy obiadowej często, aby mieć choć trochę zapomnienia o naszej tragicznej rzeczywistości, prosiłem go, aby nam śpiewał. Znał on wiele popularnych melodii operetkowych, które były najczęstszym repertuarem nocnych występów tego amatora-artysty. Jak Skorek śpiewał, na hali fabrycznej panowała idealna cisza. Słuchali go wszyscy heftlindzy niezależnie od narodowości. Czasami i chętnym odbiorcą śpiewu był majster Niemiec przychodzący do pracy do obozu z wolności. Częstoował on dyskretnie Skorka papierosami lub swoim śniadaniem, przynoszonym z sobą do pracy.

W zasadzie całością oddziału firmy Blaupunkt mającego swą siedzibę na terenie obozu Gross-Rosen sprawowało dwóch Niemców, majstrów codziennie przychodzących, a właściwie dojeżdżających rowerami z wolności. Ci dwaj Niemcy różnili się między sobą w zasadniczym stopniu stosunkiem swoim w odniesieniu się do więźniów, a szczególnie do Polaków. Odczuwałem to w znacznym stopniu na własnej skórze. Jeden z tych majstrów nie odezwał się do mnie nigdy inaczej jak: du polnische verfluchte Bandite. Stałem się temu szwabowi nie włączyć w oczy, gdyż wyczuwałem, że on mnie nie lubi. Przyczyny tego nie znałem i obawiałem się, że majster może przyczynić się, że mnie wyrzucą z pracy w Blaupunkt. Majstrowie spoza obozu sami nie posiadali kompetencji bicia więźniów, ale jeżeli na kimś się chcieli odegrać, napuszczali na niego capo, który już odpowiednio sprawę załatwiał.

O ile jeden z tych majstrów był tak nieludzki, o tyle drugi był bardzo życzliwie nastawiony do więźniów. Sympatię tę odczuwałem i osobiście. Zdarzały się wypadki, że Niemiec przechodząc obok mnie, siedzącego przy maszynie, wsuwał dyskretnie tak aby nikt nie widział, śniadanie lub kawałek chleba do kieszeni. Majstrowie nigdy nie wdawali się w rozmowy z więźniami gdyż zapewne mieli to zabronione przez Gestapo. Ten mój przyjacielski majster łamał jednak te zakazy. Czasami przechodząc koło mnie poklepywał mnie po plecach i rzucał, krótkie urywane pocieszające zdania.

Zdarzyło się, w czasie jednej z przerw obiadowych siedziałem przy swoim stanowisku roboczym, pogrążony w zadumie o swoim losie. Głowę oparłem na stole i nie zauważyłem jak majster - Niemiec usiadł na półce umieszczonej na stole, na której układane były narzędzia. Poklepał mnie po ramieniu i zapytał po niemiecku, czemu ja taki smutny. Odpowiedziałem mu, że przecież los mój jako więźnia obozu koncentracyjnego jest przesądzony. Stąd wyjścia nie ma, chyba, że przez komin krematorium.

Majster popatrzył się na mnie, a potem mówi: nie martw się wkrótce będziesz na wolności, razem ze swoją rodziną. Nie upadaj na duchu, jesteś młody i przyszłość przed tobą. Gorzej będzie z nami Niemcami, bo my przegrywamy wojnę.

Nie chciał więcej majster nic mówić, ale słowa jego natchnęły mnie otuchą. Powszechnie interpretowaliśmy wypowiedzi Niemca jako bliski już koniec III-ciej Rzeszy.

Ze swoim towarzyszem z pracy, Łomonosowem miewałem i wspólne interesy jeśli chodzi o organizowanie jedzenia. Przed udaniem się do pracy staraliśmy się za porcję chleba do spółki zebrana nabyć kartofle. Za taką dzienną porcję otrzymywaliśmy cztery duże ziemniaki, które w sumie mogły ważyć przeszło dwa kilogramy. Były to zapewne kartofle pastewne, bo w życiu nigdy nie widziałem takich okazów używanych do gotowania w domu. Niezależnie jakie one by nie były, to po ugotowaniu smakowały wyśmienicie.

Samo przygotowanie naszego wspólnego posiłku przebiegało zwykle następująco. Jeszcze przed rozpoczęciem pracy, staraliśmy się w ubikacji możliwie szybko obrać ziemniaki i je wymyć. Pokrajane wkładaliśmy do dwulitrowej miski blaszanej i zalane wodą chowaliśmy pod stół, przy którym pracowaliśmy. Na około godzinę przed przerwą obiadową stawialiśmy miskę z ziemniakami na maszynkę elektryczną do gotowania. Wesołe bulgotanie gotujących się kartofli przypadało już na przerwę obiadową. Odcedzenie, posolenie nie nastreczało kłopotów. Po zjedzeniu obozowej zupy dzieliłem się po równej części z Łomonosowem miłą ugotowanych kartofli. Po takiej porcji nie odczuwało się już głodu.

O gotowaniu przez nas kartofli w czasie pracy wiedzieli vorarbeiter, majster i capo. Udawali oni, że nie widzieli naszego "przestępstwa". Vorabeiter uprzedzał nas ciągle, abyśmy się wystrzegali tego podłego majstra z wolności bo w przypadku wpadki trafilibyśmy do Sondercomando, gdzie capo Vogel bardzo prędko wykańczał więźniów.

Zdarzyło się nam raz, że przy wymianie chleba na kartofle zostaliśmy nakryci przez blokowego z innego bloku. Zaprowadził on nas na swój blok i zaczął nas rewidować. Łomonosow nie przyznał się do handlu i po otrzymaniu ciosu w szczękę wypuszczony został z bloku. Gorzej się ze mną sprawa przedstawiała. Otoczy-

ło mnie kilku dobrze odkarmionych pomocników blokowego i wraz z nim zaczęli mnie obszukiwać. Wyciągnięcie czterech dużych kartofli spod puloweru nie nastąpiło im większych trudności. W czasie kiedy blokowy wyciągał kartofle, zobaczył on, że ja posiadam dwa swetry razem zszyte. Każdy sweter był innego koloru, a ja żeby nikt nie zauważył, że noszę je razem dość umiejętnie zszyłem. Posiadanie dwóch swetrów należało do wielkich przestępstw obozowych i mogłem za to trafić do bunkra. Więźniowie, którzy pracowali na dworze otrzymywali na zimę płaszcze, a ci co pod dachem po jednym pulowerze. Ja posiadając kolegów pracujących w Effektenkammer zorganizowałem sobie dodatkowy sweter.

Blokowy zauważywszy, że posiadam dwa swetry kazał mnie jeden odpruć i zabrał go sobie. Sytuacja moja stawała się coraz bardziej tragiczniejsza. Blokowy, z zielonym winklem Niemiec o gębie bandyty po krótkim ryku przekleństw uderzył mnie pięścią w żołądek. Znając metody wykańczania więźniów spodziewałem się tego ciosu i miałem napięte mięśnie brzucha. Z tego też tytułu cios mimo, że był silny nie spowodował na mnie większego wrażenia. Udałem jednak, że skręcam się z bólu i się odpowiednio skurczyłem. Czekałem teraz na cios w szczękę, który istotnie z moim przewidywaniem nastąpił. Udając, że uderzenie zachwiało moją równowagę rąbnąłem głową stojącego w drzwiach więźnia i wybiegłem z bloku. Na dworze panowały ciemności, więc ja szybko pobiegłem do swego bloku i tam się schowałem. Byłem już bezpieczny bo kto by mnie znalazł i poznał. Żałowałem bardzo kartofli i pulowerka, ale cieszyłem się że z tej całej opresji uszedłem z życiem. Po tym incydencie już więcej nie ryzykowałem gotowania kartofli.

Początkowo, w pierwszym okresie pracy na komandzie Blaupunkt przebywałem jeszcze w bloku ósmym. Potem przeniesiony zostałem do bloku dwudziestego, gdzie przebywali inni więźniowie z mojej pracy. Na parę dni przed moim przeniesieniem zaszedł na moją sztubie dość dziwny incydent. W czasie wydawania kolacji otrzymywaliśmy po małej kosteczce margaryny. Dzieleniem tego jedynego tłuszczu jaki czasami nam w niewielkich ilościach dawano zajmowali się tak zwani stołowi. Wyznaczani oni byli z zespołu häftlingów mających swe stałe miejsce przy jednym stole. Na mego stołowego był wyznaczony młody ksiądz, który przy każdym dzieleniu jedzenia bardzo się denerwował tym, aby je jak najbardziej sumiennie podzielić. Nad każdorazowym podziałem margaryny czuwał sztubowy Marian, który każdorazową jakąś niedokładność przy podziale wykorzystywał jako okazję do wykańczania więźnia. W takiej atmosferze napięcia nerwowego nie trudno było o pomyłkę.

Pamiętnego wieczoru sztubowy stał przy naszym stole i bez przerwy obserwował jak przebiega podział margaryny. Stołowemu tego dnia ręce wyjątkowo silniej niż zawsze się trzęsły, a podział margaryny wypadł niezbyt udanie. Stołowy nasz siedział błady jak papier, a pot kroplisty wystąpił mu na czole. Patrzyliśmy wszyscy oszupiali niepokojąc się o los stołowego. Na dalszy bieg wypadków nie długo było trzeba czekać. Marian chwycił księdza za gardło i jak to było w jego zwyczaju zaczął kułakami okładać więźnia. Ksiądz leżał już na ziemi zalany krwią, a Marian nie przestawał go katować. W tagesraumie panowała całkowita cisza, a słychać było tylko odgłosy uderzeń. Na sali ktoś po

cichutku powiedział: to ksiądz. Sztubowy usłyszawszy profesję bitego jakby trochę się zdeterminował, a bicie zelżało. W końcu zaprzestał katowania i ryczał na całą sztubę.

- Ksiądz nie ksiądz, wszyscy jesteście u mnie jednakowi. Ja was wszystkich powykańczam, wy owieczki p..... zaciągał z lwowska. Pożałujecie żeście na świat przyszli wy takie i takie syny, wyliczając skrupulatnie jakimi to my synami jesteście.

Marian usiadł przy swoim stole i długo jeszcze produkował się w wyszukiwaniu różnych kwiecistych epitetów.

Dziwnym trafem nie dobił pobitego więźnia jak nie zareagował, kiedy księdza posadzono na stołek przy stole. Siedział on z mocno rozbitą twarzą cały zabroczony krwią.

Marian skończywszy swoją "przemowę" siedział do końca kolacji z głową opartą na rękach, nie zwracając uwagi co się wokół niego działo i do nikogo się nie odzywając.

W ciągu następnych dni, jakie jeszcze przebywałem na bloku ósmym, zauważyłem, że w sztubowym zaszła jakaś zmiana. Nie wstawał prawie wcale od swego stołu w czasie posiłków. Nie wtrącał się do niczego co się wokół niego działo. Chodził tak jakby nikogo nie widział. Pomocnicy sztubowego wyżywali się jeszcze w biciu, ale bez podniety sztubowego, coraz rzadziej i mało intensywnie.

Na bloku dwudziestym dokąd mnie przeniesiono, warunki pobytu były lepsze niż na bloku cugangowym. Pracując na nocnej zmianie unikałem styczności z blokowym jak również nie potrzebowałem wystawać na apelach. W moim nowym bloku przebywali przeważnie więźniowie, którzy dłuższy czas już przebywali w obozie. Byli oni między sobą już zżyci, a ja jako nowo przybyły i pracujący w nocy nie miałem możliwości nawiązania bliższych znajomości i przyjaźni. Myśmy w zasadzie różnili się między sobą jedynie numerami i mało o sobie wiedzieliśmy. Powszechnym zwrotem w kontaktach między więźniami było mówienie do siebie per ty. Jedynie do więźniów funkcyjnych mówiliśmy per pan. Czasami dochodziły do mnie informacje o niektórych współtowarzyszach niedoli, które były zaskakujące. Okazywało się, bowiem, że jednym z niedalekich sąsiadów ze spania był hrabią inny, że biskupem. Tutaj jednakowo na wszystkich czyhała śmierć niezależnie kim kto kiedyś był.

Była już późna jesień i na dworze panowała okropna pogoda. Padał deszcz ze śniegiem i wiał silny wiatr. Ja ze swoim całym komandem z nocnej zmiany spaliśmy jak zwykle w czasie dnia. Po dwunastogodzinnej pracy każdy z nas był bardzo zmęczony i sen miał twardy. Z prycz nas oderwały wrzaski i bicie pałkami przez blokowego i SS-manów. Krzyczano - Aufstehen, alles los, aber schnell i wypędzano nas z bloku. W biegu usiłowaliśmy się ubrać. Do apelu trzeba było jak najszybciej stanąć gdyż na opieszających spadały razy pałek, a ci co byli ostatni byli zazwyczaj zakatowani na śmierć. W takich sytuacjach większość z nas blok opuszczała przez okna.

Przyczyną dodatkowego apelu była ucieczka więźnia z obozu. Staliśmy już kilka godzin na tej szarudze jesiennej i nie zanośiło się że nasza mordęga się skończy. Wszyscy byliśmy zmarznięci i zmoknięci. Po kilkugodzinnym staniu przy biciu i krzykach zapędzono nas z powrotem do bloku. Kiedy już porozbierani leżeliśmy, a niektórzy zapadli w sen, znów rozległy się krzyki i bicie. Ponownie wypędzono nas na dwór. Apel trwał kilkanaście

godzin. Tych którzy padli z wycieńczenia, przysypywał leżących na ziemi, padający śnieg. W końcu oznajmiono nam, że zbiegłego więźnia ujęto i zastrzelono. Był to podobno jakiś polak pracujący poza obozem.

Następnego dnia fryzjerzy blokowi mieli pełne ręce roboty. Każdemu z więźniów niezależnie od narodowości, musieli oni na głowie wygolić szeroką na dwa palce drózkę, popularnie nazywaną z rosyjskiego połoską. Dotychczas, dla odróżnienia, taką połoskę nosili więźniowie, pochodzący ze Związku Radzieckiego. Po wprowadzeniu powszechnego obowiązku noszenia wystrzyżonych drózek przez całą szerokość głowy, dla dalszego odróżnienia więźniów radzieckich, wygalano im połoski w kształcie krzyża. Znakowanie głów miało na celu łatwiejsze ujęcie więźnia, w przypadku ucieczki.

W niedzielę praca na dziennych komandach roboczych trwała do obiadu. Po południu, teoretycznie więźniowie mogli przeznaczać czas na własne potrzeby. W większości przypadków jednakże blokowi, aby zająć czas więźniom, w wolne popołudnia urządzali strzyżenie, golenie lub przeglądy bielizny. Bywały czasami jednak i wolne popołudnia niedzielne. Ten czas odpoczynku spędzano różnie. Większość więźniów tak zwanych mużułmanów, snuła się między blokami, szukając z głodu chwastów i trawy i tym się odżywiała. Wielu nie mając siły na chodzenie, siadywała pod blokami lub na krawężnikach dróg obozowych i tak w bezruchu i apatii przebywała. Dobrze jak w czasie wolnym od pracy bywała pogoda. Wtedy to przebywanie na powietrzu nie było tak uciążliwe jak w czasie deszczu lub śniegu. Przebywanie w czasie niedzielnych popołudni w bloku było zabronione, nie mówiąc już o możliwościach położenia się na pryczy.

Pracując na komandzie Blaupunkt dzięki pomocy kolegów zacząłem ponownie trochę nabierać ciała i wracać do normy. Stawałem się "starym" haftlingiem i w coraz większym stopniu poznawałem stosunki jakie panowały w obozie.

Pracujący więźniowie na stałe w komandach otrzymywali tygodniowo pewne "wynagrodzenie". Były to marki obozowe, zrobione z małych tekturek, na których widniała pieczętka. Ja tygodniowo otrzymywałem od trzech do czterech takich marek. Za to wynagrodzenie można było czasami kupić w obozowej kantynie papierosy, piwo słodowe o nieokreślonym smaku, kapustę kiszoną. Raz to nawet sprzedawano ślimaki marynowane. Ceny na różne produkty były dość wysokie. Pudełko zawierające sto sztuk papierosów o bardzo lichej jakości kosztowało cztery marki, a miska słonej i kwaśnej kapusty, markę.

Pojawienie się kapusty w kantynie wywoływało wielkie poruszenie wśród posiadaczy marek. Każdy starał się jak najprędzej dobiec do sklepiku, aby zdążyć zanim nie zostanie rozsprzedana kapusta. O tym że przywieziono pożądaný towar można się było zorientować po biegnących z różnych stron obozu więźniach w kierunku kantyny z blaszanymi miskami pod pachą. W takich zakupach i ja brałem czasami udział. Złożyło się raz, że w niedzielne popołudnie obiegła obóz wiadomość o tym, że będzie sprzedawana kapusta. W tej sytuacji szybko chwyciłem swoją dwulitrową blaszaną miskę i pobiegłem do kantyny. Tutaj już przed zamkniętymi drzwiami stał tłum więźniów. Każdy starał się być możliwie jak najbliżej drzwi, aby mu nie zabrakło kapusty. Przyszli w

końcu haftlindzy obsługujący sklepik, ale nie mogli się prze-
drzeć przez tłum stojący przed drzwiami. Zwabieni panującym tu-
multem przybiegli i więźniowie funkcyjni z pałkami. Rozpoczęła
się "Sodoma i Gomora". Blokowi prali drągami po głowach tych,
kto wpadł im pod rękę. Wielu już leżało na ziemi z rozbitymi
głowami, ale bicie nie ustawało. Stojąc ja wciśnięty w tłumie
nie miałem możliwości wycofania się poza obręb pogromu. W ta-
kiej sytuacji nałożyłem szybko blaszaną miskę na głowę i czeka-
łem na dalszy bieg wydarzeń. Razy padały coraz częstsze i parę
uderzeń mnie się dostało. Skutki ich nie okazały się jednak dla
mnie tragiczne. Blaszana miska dość skutecznie mnie ochroniła
od rozbicia głowy, a może i śmierci. Miałem tylko guzy na głowie.

W czasie sierpnia i września skąpo dochodziły wiadomości o
bohaterskim powstaniu warszawskim. Szczekaczki niemieckie co
kilka dni donosiły stale o zlikwidowaniu polskiego buntu, ale
mało kto w to wierzył. Przy końcu września nadeszły jednak wiado-
mości o upadku powstania. Żałoba ogarnęła cały obóz. Pryśły na-
dzieje na szybkie oswobodzenie Kraju i obozu. Warszawiacy martwi-
li się o los swych najbliższych.

Mijały miesiące, a ja pracując na nocnej zmianie w komandzie
Blaupunkt, dzięki pomocy kolegów, dość możliwie znosiłem pobyt
w obozie. Od czasu do czasu jedynie puchły mnie nogi i tworzyły
się wrzody na ciele. Były to dolegliwości dokuczliwe, ale nie
zagrożały życiu. Gorzej odczuwało się całonocne wdychanie opa-
rów tri no, ale na to nie było rady. Zdarzyło się jednej nocy,
kiedy to ja jak zwykle siedząc na wysokim stołku przy maszynie,
zacząłem odczuwać silne dreszcze. Całym moim ciałem tak trzęsło,
że nie tylko, że nie mogłem pracować, ale i nie dałem rady zleźć
ze stołka. Zęby mnie tak szczekały, że nie byłem zdolny wymówić
ani słowa. Mój stan zauważyli majster i vorarbeiter. Zdjęli
mnie ze stołka i przenieśli na skrzynię służącą do przechowywa-
nia węgla, stojącą niedaleko żelaznego dużego pieca. Tu mnie u-
łożono na kilku płaszcach, a chyba z dziesięcioma przykryto.
Pod wpływem ciepła zacząłem bardzo mocno się pocić. Tak leżałem
do rana, do końca zmiany. W miarę czasu odczuwałem coraz większą
poprawę, aż kiedy już trzeba było się udać do bloku, moja febra
całkowicie przeszła.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.64.

OSTATNI WIECZÓR WIGILIJNY W KOMANDO "WETTERSTELLE"

W wigilię Bożego Narodzenia 1944 roku pracowaliśmy jak każdego innego dnia. Nasz blokowy, Niemiec-komunista, który się działy w tym obozie od czasu jego założenia, przed wojną był głównym inżynierem w zakładach radiowych. Kilka dni wcześniej, zwrócił się do szefa zakładu "Wetterstelle", ażeby wszyscy podlegli mu więźniowie spędzili wieczór wigilijny w zakładzie. Na marginesie chcę coś niecoś wyjaśnić tym, którzy nie słyszeli lub nie wiedzą, co się w tym komando robiło. Otóż pracowało w nim około 100 więźniów, przeważnie inżynierów wysokiej specjalności, różnych narodowości. Zakład mieścił się w blokach poza obozem, a właścicielem był generał w stanie spoczynku - inżynier Weber, któremu otwarcie tego zakładu zlecił Himmler, podobno jego kolega. Ściągano do tego zakładu specjalistów z innych obozów. Więźniowie, pracujący tu w bardzo nowoczesnych warunkach technicznych, zajmowali się budową i regeneracją różnego rodzaju sprzętu radiowego dla potrzeb marynarki wojennej, lotnictwa i innych jednostek wojskowych. Było to komando tajne - geheimkomando.

Nosiliśmy czerwony trójkąt i numer na czarnym tle. Z tymi ludźmi nie wolno było rozmawiać innym więźniom ani esesmanom. Rano po apelu wychodziliśmy za bramę do naszego zakładu w otoczeniu esesmanów z psami, a po pracy wracaliśmy w takiej samej asyście. W obozie bloki "Wetterstelle" były otoczone drutami, nie wolno nam było wychodzić na teren obozu. Warsztaty w których pracowaliśmy, były strzeżone przez żołnierzy SS, ale obowiązywał ich zakaz wchodzenia do wnętrza. Były trzy działy: laboratoryjny, mechaniczny i magazyny z aparatami radiowymi różnych typów z łodzi podwodnych, samolotów wraz z częściami.

Trafiłem tam przypadkowo. Na apelu wyczytano trzy numery między innymi mój 88106. Po apelu i śniadaniu zaprowadzono nas pod Schreibstube, a stamtąd do szefa komando. Po krótkiej rozmowie wyznaczono nam funkcję. Ja zostałem magazynierem, a dwóch kolegów moimi pomocnikami. Otrzymałem zeszyt, miałem wydawać różne części radiowe za pokwitowaniem. W komando pracowało wielu specjalistów z 6 - 8 krajów Europy, nie mogłem się z nimi dogadać, gdyż znałem tylko język niemiecki, a i to słabo. Otóż kiedy ktoś przychodził po jakąś część, sam ją sobie wybierał, wpisywał do książki nazwę i kwitował swoim numerem. I tak codziennie. Było tu ciepło i cicho. Miałem u siebie różnego rodzaju radia, tak że codziennie, o 7 rano, słuchałem audycji z Londynu i przekazywałem wiadomości innym. Muszę dodać, że mała grupka posiadała nadajnik i nadawała wiadomości z obozu do Londynu, o czym dowiedziałem się dopiero przy ewakuacji obozu.

Ale wróćmy do wieczoru wigilijnego. Jak wspomniałem, szef zgodził się na urządzenie wigilii w zakładzie i wraz z majstrem, mieli wziąć w niej udział. Nie przypominam sobie, ale chyba byli

to Polacy, którzy zgłosili się do mnie z prośbą o wydanie z magazynu pewnej ilości gliceryny i to bez pokwitowania. Wkrótce okazało się że zrobili z tego likier.

Nastał oczekiwany wieczór. Całe komando zebrało się w jednej sali. Po przemówieniu szefa i blokowego, wznieśliśmy toast tym likierem, skonsumowaliśmy tzw. "kolację" i nastąpiła najważniejsza część wieczoru - rozpoczęły się śpiewy kołęd w różnych językach. Były to bardzo podniosłe chwile. Sporo ludzi miało łzy w oczach. Śpiewając, momentami myślałem, że jestem w Polsce, we własnym domu. Lecz było to tylko złudzenie, cała przyjemność trwała około dwóch godzin. Po tych uroczystościach, esesmani źli, że musieli marznąć na dworze, podczas gdy my siedzieliśmy w ciepłym wnętrzu, zaczęli nas gonić do obozu. Tak skończyła się ostatnia wigilia Bożego Narodzenia w obozie Gross-Rosen. Wkrótce nasze komando zostało ewakuowane do Mauthausen, a gdy wojska radzieckie podeszły pod Wiedeń - do Sachsenhausen. Stamtąd wyprowadzono nas w nieznane, drogą u kresu której była nam pisana zagłada. Należałem do tych, którym udało się nie paść w marszu śmierci i doczekać wyzwolenia.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.65,

Kościół w Rogoźnicy. W tym kościele jest wymalowany fresk i umieszczona pamiątkowa tablica od ocalałych więźniów.

Wieże tego kościoła widziały transporty przywożonych więźniów do obozu i żegnały ich w czasie transportów ewakuacyjnych. Tędy bowiem prowadziła droga z obozu do stacji kolejowej.

Foto B. Banaszewski

Nr archiwum Gross-Rosen 1.4.17.2.

